

Jacek Bierut

## Ludzie (fragmenty)

### 1.

Najpierw było słycać tylko dogłosy. Potem zza budynku stacji benzynowej wylonili się oni. Pierwszy szedł dzieciak w szynelu z ciągnącymi się po ziemi frędzlami. Maszerował odwrócony plecami. Głowa ledwo wystawała spod odciętego kołnierza. W rękach miał broń. Karabin. Za nim coś wypełzło. Zalane krwią. Pewnie uderzone kolbą w głowę. Mężczyzna? Na pewno zasługiwał na współczucie, ale wydawał się przede wszystkim groteskowy. Ojciec. No przecież. Bo kto inny? Na czworakach. Nisko przy ziemi. Z przerażeniem w oczach. Czy hieny to było tylko preludium. Jak można mieć takie oczy? Na końcu orszaku dwóch maluchów. Może ośmioletnich. Z karabinami gotowymi do strzału. Te karabiny wydawały się większe od nich. Musiały ich strasznie boleć rączki. Karabiny wycelowane w plecy ojca.

– Tat.

W zupełnie zapadnięty grzbiet. Jakby struna grzbietowa zrobiona była z gumki po starych szortach. W tych okolicznościach należało jednak zadbać o wyprostowaną postawę.

– O, mamó.

Wybiec ze studni z krzykiem i zginąć razem z ojcem? Z najprostszego wyjścia należy korzystać tylko wtedy, kiedy wiadomo, że przyniesie dobry efekt. Matka Murzyna już wtedy to wiedziała.

– Pewnego dnia zrozumieją to wszyscy mądrzy – powiedziała Murzynowi, kiedy był taki mały jak ci chłopcy w szynelach. – Trzeba robić dobre rzeczy dla innych, ile tylko można, a wtedy dostanie się nagrodę. Ale trzeba wiedzieć, co ma być nagrodą. To nie może być byle co. Dla jednego to będzie to, dla innego tamto. Ważne, żeby robić odpowiednie rzeczy. Do robienia nieodpowiednich rzeczy ludzi jest dość. I nigdy nie trzeba się starać, żeby były robione z grzecznością. Nawet czasami lepiej je robić niegrzecznie. Bo jak ludziom się wydaje, że czegoś naprawdę chcą, to najczęściej wcale to nie znaczy, że to będzie dla nich dobre.

Ale wtedy nie miała czasu na myślenie. Do pełzającego ojca zbliżył się kolejny chłopaczek w szynelu. Starszy. Może

dwunastoletni. Może trzynastoletni. Zobaczył go przez okno i wyszedł z budynku stacji benzynowej. Szynel leżał na nim jakoś lepiej. Prawie nie ciągnął się za nim po ziemi. Z tyłu miał tylko kilka frędzli. A zamiast butów miał bose stopy. Klapały po betonie. Wesoło. Jakby to była zabawa grzecznego dziecka w niegrzeczne dziecko. Tylko szczęk broni do tego nie pasował. Wiadomo, jak broń szczęknie, to zaraz zaczyna pierdzieć. I świat jest już zepsuty. Pusty. Bez mamy. Bez ojca. Bez sensu. Bo co dalej? Oglądać się za jakimś chłopakiem dla siebie? Jakimś opiekunem? Starym dziadem z jednym długim zębem? Serce ojca, a dobrze je było widać, skulone, oglupiałe, zamarło pod żebrami. Popukiwało ostatnimi puknięciami. Matka Murzyna wygrzebała się ze studni.

– O, chłopaki, jesteście! – zaczęła bardzo głośno, zanim stanęła na ostatnim szczeblu. – No to pomóżcie! Trzeba pomóc! – dodała jeszcze głośniejszym głosem, żeby wszyscy słyszeli.

Odwrócili się od ojca. Może to było dla nich coś nowego? Takie serce starego Lemba już świetnie znali. Ten z karabinem wymierzonym w ojca odwrócił tylko głowę. Reszta jego ciała nie skończyła jeszcze roboty. Tej roboty, na której się świetnie zna. Pierdzenia. Wystarczy poruszyć palcem. Mały ruch. Jak u małego chłopczyka puszczającego bąka.

Białas ze stacji stał z czolem przyklejonym do szyby. Też chyba starał się przedłużyć swoje małe życie o kilka długich sekund. A może nawet wielkich minut? Jaki on brzydki, rzuciło jej się w oczy.

– Fajne macie ciuchy! Jak na filmach. Znacie filmy?

Ten dwunastoletni odwrócił resztę ciała. Bardzo powoli. Z bronią wciąż gotową do pierdzenia i z przymrużonymi oczami ruszył wprost do matki Murzyna. Widać było, że zna się na swojej robocie. Szedł, starając się nie odrywać bosych stóp od ziemi. Tak, żeby wszyscy czuli, że zaraz nic tu nie zostanie w jednym kawałku. Oprócz niego samego. Bo on potrafi i ma takie możliwości i magazynek gotowy na jeszcze więcej. I palec.

– Co znamy, to znamy – odpowiedział.

– Chodź, zobacz. – Matka Murzyna powiedziała to tak lekko, jakby mówiła do młodszego kolegi, syna

sąsiadów. – Wpadła. Jaka przestraszona. Popa. Jaka. Wyciągniemy?

W dole brzucha to już nie była rewolucja. To była sraczka. Chyba po tej wodzie z kibla. Ale to nie sraczka. To coś innego. Nie było czasu na dół brzucha i nagle bóle.

– Co? – spytał z wciąż przymrużonymi oczami.

Mógł albo spytać, albo pierdzieć. A jak pierdzieć, to porządnie. We wszystko dookoła. W szklaną ścianę na końcu. Żeby się rozsypała. Jak uwolniona woda.

– Ale patasz. Sam popatrz. Biedactwo.

Nie spojrział tam, gdzie chciała. Spojrział na nią. Jednym okiem. Przez muszkę na końcu lufy. I to tak, że poczuła, że sama stoi na końcu tej rurki, a on wędruje po jej ciele, w górę, przez brzuch, aż do głowy. Nigdy nie wolno tracić głowy. Chociaż z brzucha chciało się coś urwać. Jakies kamienie. Jakiś syf.

– Jak na ciebie mówią? – spytała.

Ruch jego lufy zatrzymał się wprost na jej oku. Zrobiło jej się ciepło w tę część twarzy. Wszystko w niej chciało zamknąć powieki, ale ich nie zacisnęła. On nie nacisnął cyngla. Palec mu się jakoś nie rwał do roboty. Może wcale nie jest tak łatwo zabić kogoś, kto chce poznać twoje przezwisko. A może uniosło się chłopięce serce?

– Imię to wiesz. Nie pytam o imię. Mój stary dał mi na imię tak, że nawet matka tak do mnie nie mówiła. Nikt tak do mnie nie mówi. Jak na ciebie mówią?

Ojciec spojrział na nią wyraźnie zdziwiony. Ale chyba bardziej cieszył się z tego, że nikt na razie do niego nie strzelił.

– Na mnie mów Pi – powiedziała i trochę się zmartwiła, że na chłopaczkę nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Wiesz, co to jest? To jest taka liczba, której nikt nie zna. I nie pozna. Nigdy.

– Akurat – zaśmiał się. – Ja znam wszystkie liczby. Do stu. A nawet więcej. Liczby są słabe. Jak się coś da policzyć, to znaczy, że nie warto tego liczyć.

– Ja tam lubię liczby. A ty? Co lubisz?

Naprawdę się zastanowił. Ucieszyła się. Uważanie ludzi za tych, kim są, jest słabe. Ludzi lepiej uważać za tych, którymi chcieliby być.

– Lubienie jest dla głupków – odpowiedział.

– No pewnie, ale jak byś lubił, żeby na ciebie mówili? – Pokazała na jego kumpli i zatoczyła ręką na cały Płaskowyż.

Chyba mu się to spodobało. Cały Płaskowyż. Zastanowił się dokładniej.

– To ważne, jak na ciebie mówią i jak będą mówić. Życie jest fajne, gdy się przechodzi do legendy. Inne życia są dla głupków.

– Chcę, żebyście na mnie mówili – zwrócił się do pozostałych chłopaków – Kapitan.

– Kapitan – wybuchnęli śmiechem.

– Nie mogę.

– Zejszczę się.

– Słabitan.

– Głupi jesteście. – Pi przerwała im zabawę. – On jest od teraz Kapitan i koniec. Może nie?

Śmiechy ucichły.

– A na ciebie jak mamy mówić? Jak chcesz? – spytała pierwszego z brzegu.

Bardzo go zaskoczyła. Skulił się pod szynelem. Przykurczył. Niemal zniknął. Prawie nie było go widać. Nabral powietrza i poruszył bezgłośnie ustami. Ale tylko tak, jakby próbował je przyzwyczaić do ruchu, jaki jest potrzebny, żeby udało się wymówić to słowo. A może jakby to sobie przypominał? Pobierał z innego świata?

– Żołądeczek – powtórzył ten sam ruch ust, ale wypowiedziane słowo było tak ciche, że niemal nie było go słychać.

– Jak? – krzyknął jego kolega.

– Żołądeczek – powtórzył już pewniej. – Żołądeczek. Wszyscy w śmiech.

– Żołądeczek! Żołądek!

– Nie Żołądek tylko Żołądeczek. Nie znacie się. Nic a nic. Mama tak do mnie mówiła.

Przestali rechotać w jednej chwili.

– Żołądeczek, słyszycie. Mama nie żyje? – spytała Pi, chociaż nie trzeba było pytać, bo chłopcu zaskkliły się oczy. Innym także. To chyba nie było wśród nich mile widziane. – Jak mama tak mówiła, to Żołądeczek i już. Co mama, to mama. Żołądeczek. Fajny jesteś. Też miałam mamę. Mama jest super. I dla mnie ona wcale nie jest tak całkiem nieżywa. Tu ją noszę. – Klepnęła się w bawelnianą podkoszulkę. – Żołądeczek, Kapitan, chodźcie do mnie. Będziemy razem zapamiętywać. Każdego po kolei. Wszystkim się należy. Wszystkich zapiszemy tu. – Przetarła ziemię tuż przed sobą. – A potem będziemy czytać. Każdy zapamięta. Kapitan – schyliła się i kciukiem zapisała pierwszego, głośno literując – fajne nazwanie. Kapitan. Podoba mi się. Super. I łatwo zapamiętać. Ja już pamiętam. Kapitan i Pi. Nie? Wszyscy tak będą mówić. Zobaczysz. Będą mówić: Kapitan i Pi. Zrobili to i to. Teraz ty. Żołądeczek. Ciebie zapiszemy

obok. Żo-łą-de-czek. Ładnie. Żołądeczek – powiedziała to tak, żeby wszyscy usłyszeli i żeby im się spodobało. Miała bardzo ciepły głos. Podniosła głowę. – Żołądeczek jest fajny. Aż od razu chce się go lubić. Taki miły. Ja cię lubię, Żołądeczek. Kapitan też. Kapitan i Pi lubią Żołądeczka. Kto następny?

Zostawili ojca pod szklaną ścianą. Podeszli. Przybiegli też następni z budynku stacji. Mieli w rękach czekolady. Białas z dodatkowymi brwiami odszedł od okna i gdzieś zniknął.

Czasem ludzie nie wiedzą nawet, jakie chcą mieć przezwisko. Pi potrafiła pomóc każdemu. Pi potrafi wszystko! Został jej ostatni. Nic nie mówił. Nawet spytany po raz dziesiąty, jak by chciał być nazwany.

– Ty będziesz Płaskowyż – wypaliła. – Zapiszę je największymi literami.

Płaskowyż. Nawet Kapitan jęknął. Wszystkim się to spodobało. Zazdrość to zazdrość. Płaskowyż to nazwanie dla szefa Kapitana, nie odwrotnie. Nikt jednak nie oponował. Hierarchia została ustalona. Poza tym nikt już nie śmiałby się sprzeciwiać Pi. Sprzeciwianie się Pi byłoby już głupie. Nikt by tego głośno nie powiedział, ale po co mówić rzeczy, które wszyscy wiedzą?

– Płaskowyż. Ty jesteś silny i odważny. Pomożesz mi w studni.

Nie musiała tego powtarzać. Zaraz zresztą wszyscy podeszli zajrzeć, co tam się dzieje. Hiena zobaczyła w ciasnym kółeczku na tle nieba samiutkie główki. Pisnęła. Od tych głów szedł zapach, który hieny uwielbiają i który je przeraża. Zapach trupów, których nie można zjeść.

– Idę pierwsza – zdecydowała Pi. – Potrzymaj. – Podała klapki Żołądeczkowi. – A ty za mną – powiedziała do tego, który się jeszcze nie odezwał, ale wszyscy mu i tak zazdrościli.

Zatrzymała się nagle. Obejrzała w kierunku stacji. Podążyli za nią wzrokiem. Ojciec siedział koło kibla oparty o ścianę. Wyglądał jak nieprzytomny.

Głowa zwisała mu na jedno ramię. Coś mu kapalo z ucha. Aż się prosił, żeby ktoś pierdnął seria. Pi powstrzymała ich samym ruchem dłoni.

– Kapitan. Niech mi ktoś tego starego porządnie przypilnuje. Bo z nim to muszę jeszcze coś załatwić. Oj, muszę – powiedziała tak, jakby mu życzyła najgorszego. – A ty, Kapitan, jesteś najważniejszy. I dlatego przyprowadź tego białaska z dodatkowymi brwiami po nosem. Tylko,



Gosia Kulik

żeby mi cały był. Mamy z nim do zatańczenia. Nie? Ale najpierw wyciągnie toto z tej dziury. Prawda? Płaskowyż. Co się będziemy męczyć? To robota dla bialasa.

- Hienę?
- No.
- A po co wyciągać hienę?
- No co ty? Pomyśl, jak to będzie śmiesznie wyglądało.

## 2.

– Pani Arleta Ludzie? – tak zapytał ją głos w słuchawce, a ona odpowiedziała: – Tak jakby – zupełnie odruchowo.

Bo zadzwonił telefon. Ludzie czasami mają telefon; nikt żywy nie ma do nich numeru, ale telefon dzwoni. Tak to było. Gracjan dość szybko wpadł na to, że jednak oboje powinni mieć w przedziwnym kraju telefony komórkowe, a zaraz potem go nie było.

– Telefon bez drutu to wynalazek, który zgubi ludzkość.

Głos po polsku na drugim końcu świata, gdzie woda w odpływie wanny tworzy lej lewoskrętny, a słońce w południe jest na północy. I nawet jej to nie zdziwiło. Polszczyzna to najlepszy dowód na to, że rzeczywistość dla Polaków jest nieosiągalna. Polszczyzna to tylko mieszanina dziwnej wiedzy i wyobrażeń o świecie, o jego przeszłości, niefrasobliwego podejścia do faktów i oczekiwań mylnie traktowanych jako fakty. Polszczyzna powstała z nieustannego wystawiania ocen. Wszystkiemu i wszystkim. Choć nikt nie istnieje po to, żeby oceniać. I żeby być ocenianym. Wolność polega na tym, że nie ma znaczenia, jak, co i kogo się ocenia, i dlatego nikogo i niczego nie ma potrzeby oceniać. Bo dlaczego w polszczyźnie można zdrobnić słowo „przyjaciółka”, a nie można zdrobnić słowa „przyjaciel”?

– Tak, Arleta Ludzie, słucham – poprawiła się.

Była spokojna. Czuli się bezpiecznie. Nic jej nie tknęło. To dobre słowo. Czuli się nietykalna. Cokolwiek by czuła i robiła, nie miało żadnego znaczenia. I kryła się w tym siła. A nawet szczęście. Tak, cięża zmienia wszystko. A podwójna zmienia także i to.

– A dlaczego pan dzwoni z tego telefonu?

– Nie mam dobrej wiadomości. Człowiek, z którego telefonu dzwonię, miał wpisany tylko pani numer i numer niejakiego Hopera.

- Hopera?
- Tak.
- To jego kolega z dzieciństwa.
- Hoper nie odbiera. Odpisał tylko „Wal się na ryj”.

- Odpisał?
- Tak.
- I pan dzwoni do mnie z jego telefonu?
- Nie. Z tego drugiego. Znaczący tak.

– Szczęście nigdy nie jest wystarczające. Wystarczy poczuć jego wyjątkowy smak, a ono natychmiast przestaje wystarczać. I nigdy nie wiemy, gdzie się znajduje największe ze wszystkich szczęść. A gdzie się zaczyna nieszczęście. W tej chwili dotarło do niej tylko to, że musi zemdleć. Z powodu stanu, w jakim znalazł się świat.

- A kim pan jest?
- Jestem policjantem.
- Policjanci południowoafrykańscy mówią po polsku?
- Jeden tak.
- I to jest właśnie pan?
- Ja.
- To taki zbieg okoliczności?
- Być może.
- Ale pan świetnie mówi po polsku.
- Tak.

– Polszczyzna to nie jest normalny język, prawda?

– Czemu?

– Wypala piętno. Nawet jeśli kiedyś było w niej coś szlachetnego, dziś już tego nie ma.

- Rzadko mam okazję rozmawiać po polsku.
- To dobrze. Ludzi, którzy rozmawiają w tym języku, nic nie czeka.

– Ale pani Arleta Ludzie?

– Ludzie, tak, którzy mówią tym językiem, nie chcą żyć tak, jak żyją.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię.

– Ale ja nic nie wiem. Mogę powiedzieć tylko, że oni się ludzą w najważniejszej sprawie, że mogą nie pozwolić na to, żeby sprawy toczyły się dalej same. Ale pozwalają każdego dnia. Ale czy to sprawa dla policji?

– Toczyć się same? Tak, w tej sprawie również dzwonię. Do kogo należał telefon, z którego dzwonię?

– Wie pan, ja nie chciałam przyjąć na ślubie, cywilnym ślubie, żeby nie było, jego nazwiska, a on nie chciał mojego. Nie mogliśmy znaleźć niczego. Nic. Polszczyzna jest pusta. Dlatego przyjęliśmy oboje nazwisko Ludzie. Innego nie ma dla nas w tym języku. A pan? Jak pan się nazywa?

- Warat. Tu Warat. Po polsku Waszczurski.
- Szczur?
- Tak, ale na „wa”.
- Co pan tu robi?

– Jestem policjantem.  
 – A w Polsce?  
 – W Polsce byłem nauczycielem.  
 – Nauczyciel. Czego pan uczył?  
 – Polskiego.  
 – Polonista.  
 – To za duże słowo.  
 – Zostawił pan kogoś w Polsce?  
 – Pyta pani o kobietę?  
 – Tak.  
 – Nie.  
 – A kogoś poza tym?  
 – Brata.  
 – Kim jest brat?  
 – Żołnierzem.  
 – Żołnierz.  
 – Tak.  
 – Myśli, że w jego robocie rozstrzyga się wszystko? Ale jego robota polega na tym, że musi robić rzeczy, które ktoś inny każe mu robić.  
 – Chyba tak.  
 – Nie tęskni pan?  
 – Nie.  
 – A do polskich książek?  
 – Polskie książki są słabe.  
 – To ciekawe. To po to pan dzwoni?  
 – Nie.  
 – Ja też nie lubię rozmawiać o polskiej literaturze. W polskiej literaturze fajne jest tylko to, że można o niej bez żalu nie rozmawiać i to żaden grzech.  
 – Jest pani wierząca?  
 – Tego nie wiem. W Polsce takich rzeczy się nie wie od początku do końca. To jest kwestia chodzenia do kościoła lub nie.  
 – A pani chodzi?  
 – Oczywiście. Jak można nie chodzić do kościoła?  
 – No właśnie. Śmiertelne znużenie służące śmiertelnemu znużeniu.  
 – Pięknie pan to powiedział. Jak pan ma na imię?  
 – Robert.  
 – Pięknie pan to powiedział, panie Robercie.  
 – Możemy się umówić na identyfikację zwłok?  
 – Zwłok?  
 – Zwłok.  
 – To jak w piosence. Wokalista śpiewa i śpiewa, a nagle przestaje?

– Nie znam się na muzyce rozrywkowej.  
 – Ja też.  
 – Mogę po panią przyjechać.  
 – Widzi pan, to tak miło porozmawiać z rodakiem, szczególnie z takim jak pan. Pan nie mówi czasem przeszłym, preferuje pan czas terażniejszy, panie Robercie, a nawet czuję, że chciałby pan mówić czasem przyszłym, ale ja jestem zamężna.  
 – Właśnie w tej sprawie dzwonię.  
 – Słucham.  
 – Czy rozmawiam z panią Arletą Ludzie?  
 – Przy telefonie.  
 – Dzień dobry.  
 – Dzień dobry. Coś czuję, że mówi pan: dzień dobry, dzień zły.  
 – Mniej więcej. Nie lubię takich telefonów. Zawsze inni dzwonią, ale tym razem ja musiałem, bo nikt nie mówi po polsku. Mówi pani po angielsku?  
 – Słabo.  
 – No właśnie. Ale przejdźmy do rzeczy. Pani Arleta Ludzie?  
 – Mówi Arleta Ludzie.  
 – Młodszy aspirant Robert Warat z policji kapsztadzkiej. Wydział zabójstw. Znaleźliśmy w porcie ciało człowieka bez dokumentów. Miał w kieszeni telefon, z którego do pani dziwonię. Miał w kontaktach tylko pani numer i numer niejakiego Hopera.  
 – Mówił pan, że Waszczurski.  
 – Zmieniłem nazwisko. Nikt nie potrafił go wymówić.  
 – Ja potrafię.  
 – Ale nie w tej sprawie dzwonię.  
 – To jakaś pomyłka. Pan dzwoni z jakiegoś innego telefonu i próbuje mi coś wmówić. Hoper to jakiś chłopiec z dzieciństwa. Skryjdę razem mieli. Tyle wiem. Nigdy potem się nie widzieli. A pan takie rzeczy. To jakiś żart? Policji nie można wierzyć. Poza tym co on miałby robić w porcie?  
 – Gdzie pani teraz jest?  
 – Powiedział pan to tak, jakby wszystko nadal istniało.  
 – To spytam inaczej. Umówi się pani ze mną? Zaraz przyjadę.  
 – Na kawę?  
 – Na kawę. Może być.  
 – Nie pijam kawy. Nie mogę. W moim stanie.  
 – Ale jakoś musimy to załatwić.  
 – To pana zadanie.

Mówił jak wariat, ale nie był wariatem. Miał taki niewinny, ciepły głos. Troszkę kobiecy, choć niski i męski. Zawsze miała słabość do takiego głosu. Człowiekowi, który się nim posługuje, nadaje zwykle miły wyraz twarzy. Nawet przez telefon. Urodę w tonach szlachetnych. Nawet w połączeniu z żebraczymi ubraniami. A ten w mundurze musiał się prezentować świetnie. Na takich ludzi wszystkie pary kobiecych oczy patrzą tak, jakby to patrzyła jedna para oczu. Stwardniały jej sutki. Spojrzała w lustro. Łagodne doliny obojczyków wyglądały jak uzupełnienie zbyt małych, niechających się kołysać piersi. Za to monstrualne uda przylegały do siebie za sprawą przekserowanej obfitości.

– One wyglądają tak, jakby jedno karmiło drugie.

Tak, jak się ma piersi po ojcu, to uda ma się po matce. Zawsze tak jest. Ale za to oczy błyszczące. W każdej źrenicy duża, nigdy niegasnąca kropla światła. Subtelne i wspaniałe, kiedy dół ciała najzwyczajniej kurewski. Każda kobieta chciałaby mieć wielkie sterczące cycki i wąskie biodra, ale niektóre dostały to odwrotnie. Taka dupa i małe cyckuszki. Dupa, która długo nie podejrzewała nawet, do czego została stworzona. I cycki stworzone po nic. I w takim stanie mam zidentyfikować zwłoki? Kiedy to wszystko jeszcze takie świeże? Takie bliskie. Kiedy nie mam do tego żadnego dystansu?

– Co pani teraz robi?

– Płaczę.

– Gdzie pani płacze?

Miał w tym głosie coś, co sprawiało, że wszystko w nim jest bardzo poważne, ale jednocześnie bardzo zwykłe.

– Wie pan, to smutne. Przypadek sprawia, że ktoś do nas dzwoni, rozmawiamy z tym kimś, troszkę go poznamy, on nawet robi na nas pewne wrażenie, a potem go tracimy. To jest smutne. Bardzo smutne – powtórzyła ze śmiechem.

– Ale o co pani chodzi? Nie chce pani zidentyfikować ciała?

– A co to jest ciało? Jakaś przynależność, nawet przywiązanie; ufa się mu. Ono mówi: nie rób mi tego wszystkiego, ale mu się to robi. I nagle pojawia się niepewność. I ta niepewność zostaje już na zawsze. To jedyny stały element każdego ciała. Wie pan, ktoś dzwoni i już jest po wszystkim.

– Ja jestem w pracy, wie pani. Nie mogę tak rozmawiać.

– Ciało to marna zasłona, panie Robercie. Jak praca. Jak się to już wie, coś nigdy już nie mija. Tylko czy to jest spokój, czy to jest niepokoje?

– Jest takie miejsce, w którym być może znajdzie pani odpowiedź.

– Co to za miejsce? Kościół?

– Prosektorium. Przywiozę panią. Chodzi tylko o zidentyfikowanie zwłok. Zerknie pani, poda nam pani imię, nazwisko, nic więcej. Może polski adres. Zadam pani kilka pytań. To wszystko. Przynajmniej na razie.

– On na pewno nie żyje?

– Tak. Na pewno.

– A kto?

– Tego mam nadzieję dowiedzieć się od pani.

– Ja nie mogę. Właśnie mdleję, panie Robercie.

Chciała, żeby wszystko znów stało się jasne i przyjazne. Chciała tylko najnormalniejszych na świecie rzeczy. A utraciła je na zawsze. Żadnego zadośćuczynienia. Niczego w zamian. Rozumiała jedynie, co się stało, że naszła ją taka chęć na rozmowę. Cisza. Przyszła do niej cisza. Niekończąca się cisza.

– Mogli mu ukraść ten cholerny telefon.

– Mogli. Właśnie dlatego do pani dzwonię. Trzeba zidentyfikować zwłoki.

– Ja go przecież kochałam – powiedziała to już do siebie, bo wszystko stało się jasne. – A jak to się stało?

– Badamy sprawę. Zabezpieczyliśmy ślady.

– Jakaś prozaiczna przyczyna? Mówiąc dokładniej, coś, co się odczuwa z nagłą siłą? Co się szybko wzmagą i jeszcze szybciej staje się nieznośne? Aż staje się do zniesienia? Wtedy przyjeżdżacie wy?

– Pewnie ma pani rację, ale musimy to opisać dokładniej.

– Ze szczegółami?

– Tak.

– Czyli będzie jakiś akt oskarżenia?

– Tego jeszcze nie wiem, ale wiele na to wskazuje.

– Zabójstwo?

– Według mnie skrecono mu kark. Nie mówiłbym pani tego, ale pani pewnie wie, z czego składa się ciało. Chciałbym okazać pani zwłoki.

– Chciałby pan, panie Robercie?

– To złe słowo. Nie mówię już tak dobrze po polsku.

– Jego ciało składało się głównie ze skóry i kości. I ataku zmarszczek. Wargi miał spękane. Uszy duże. Zielonkawę. Jak próbował pozbierać myśli, to masował sobie czoło, a robił to na tyle często, że nad brwiami porobiły mu się takie luki jak u myszki Miki. I pocierał często skronie, przez co włosy ma troszkę wytarte.

– Dobrze go pani opisała. To on. Ale musimy doko-  
nać okazania. Nie może być żadnych wątpliwości. Jak się  
nazywał?

– Teraz mówi pan do mnie w czasie przeszłym.

– Taką mam pracę. Badam tylko to, co się już  
wydarzyło.

– A w życiu prywatnym?

– Nie mogę o tym mówić.

– Proszę powiedzieć.

– Nie mogę.

– Pan coś ukrywa.

– Nie, ale nie mówię o tym nikomu.

– Co to takiego, panie Robercie?

– To zupełnie inna sprawa.

– Proszę mi powiedzieć.

– Nie mogę.

– W takim razie to może być tylko jedna rzecz.

– Tak?

– Ktoś inny mógłby chcieć przemilczeć gwałcenie  
kobiet, ale nie pan.

– Nie gwałcę kobiet.

– Wiem. I wiem, o czym nie chce pan mówić.

– Chcę teraz umówić się tylko na okazanie zwłok.

– Pokój, w którym pan śpi, przypomina wagon  
kolejowy?

– Coś w tym rodzaju.

– Kładzie się pan spać w odświętnym nastroju?

– Nie powiedziałbym tak.

– Koledzy piją, ale pan nie pije zbyt wiele?

– Nie mam zbyt wielu kolegów. Piję sam.

– Pan stara się, żeby powiodła się panu rzecz  
niemożliwa?

– Właściwie się nie staram.

– Tak, to złe słowo. Pan próbuje zrobić coś, czego nie da  
się zrobić?

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Oj nie, nie chodzi mi o to, że pan, tak jak koledzy  
z pracy, myśli czasami o tym, żeby sobie zaszyć dupę i prze-  
stać pić.

– Nie myślę o tym wcale. Nie ma takiej potrzeby.

– I wstaje pan chwilę przed budzikiem albo nawet  
nie używa pan budzika?

– Nie używam.

– Wiem. Do pana to dociera, bo pan się nad tym  
zastanawia.

– Nad czym?

– Jak zrobić coś, czego nie da się zrobić.

– Co?

– Napisać dobrą powieść po polsku. Prawdziwą dobrą  
powieść.

## JACEK BIERUT

– prozaik, poeta, dramaturg, autor pięciu powieści (*PiT*, *Spojenia*, *Hajs*, *Pornofonia*, *Powstanie Grudniowe*), tomu opowiadań (*71*), pięciu tomów wierszy (*Igła*, *Fizyka*, *Frak człowieka*, *Kocia wiara*, *Folie*) i tomu dramatów *Pestka mandarynki i inne dramaty*, a także tomu esejów *Przesieka*. Laureat nagród literackich. Jego książki były nominowane do nagród Silesius, Angelus i innych. Laureat I nagrody Strefy Kontakt 2019. Współredaktor opracowania literatury dolnośląskiej po 1989 roku *Rozkład jazdy* i redaktor dwujęzycznej (polsko-ukraińskiej) antologii poezji wrocławskiej i podwrocławskiej *Nielegalny prąd*. Założyciel wydawnictwa j i dziennika literackiego w internecie (wydawnictwoj.pl). Eseista, krytyk literacki, tłumacz, redaktor, wydawca.



fol. prywatne archiwum autora